

# Jan Trzynadlowski

---

## W odpowiedzi Stanisławowi Dąbrowskiemu

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce  
literatury polskiej 71/4, 441-444

---

1980

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

### III. DYSKUSJE — KORESPONDENCJA

Pamiętnik Literacki LXXI, 1980, z. 4  
PL ISSN 0031-0514

#### W ODPOWIEDZI STANISŁAWOWI DĄBROWSKIEMU

Dobrze się stało, że redakcja „Pamiętnika Literackiego” uznała za celowe ogłosić wypowiedź Stanisława Dąbrowskiego jako dyskusję nad zagadnieniami edytorstwa i innymi z edytorstwem związanymi<sup>1</sup>. Trzeba podkreślić, że edytorstwo jest tak ściśle powiązane z teorią utworu i tekstu oraz z praktyką stojącą na pograniczu badań filologicznych i działań ściśle wydawniczych, że nie istnieje zgodność co do jego istoty, a szereg dotyczących go twierdzeń nadal budzi немало wątpliwości. A zatem dyskusja jest tu bardzo potrzebna.

W obecnej sytuacji wszakże dyskusja wcale nie jest łatwa, i to nie ze względów merytorycznych, lecz po prostu sytuacyjnych. Stanisław Dąbrowski uwagi swoje poświęcił kilku opracowaniom zagadnień edytorskich, co jest bezspornie słuszne, przy tym jednak z konieczności pewne spostrzeżenia odniósł równocześnie do ujęć dokonanych przez różnych autorów, co w odpowiedzi wyjaśniającej może prowadzić do uzurpacji zabierania głosu nie tylko we własnym imieniu. I to jeszcze, że autor recenzji, gdy zabiera głos, nigdy nie ma wątpliwości i dlatego poucza, grozi, ostrzega, ironizuje, odsyła, gani, co stwarza atmosferę bardziej przemówienia niż dyskusji.

Moja odpowiedź to replika, rzecz jasna, tylko w moim imieniu i w sprawach odnoszących się do mego *Edytorstwa*.

Na wstępie uwaga, moim zdaniem, zasadnicza: czy swoje rozważania na temat edytorstwa osadziłem na fundamentach genologicznych? Odpowiadam wyraźnie: TAK i temu właśnie dałem wyraz w swoim ujęciu teoretycznym.

Postąpiłem tak z powodów, moim zdaniem, oczywistych i zupełnie naturalnych. Jeśli edytorstwo określimy jako zespół różnorodnych czynności zmierzających do przysposobienia cudzego tekstu do powielenia przede wszystkim w formie książki (kodeksu!), musi się wyłonić pytanie zasadnicze. Oto ono: jakie wyznaczniki całościowe mogą zdecydować o zastosowaniu właściwych metod i środków edytorskich najpierw, a wydawniczych w drugiej kolejności? Tymi roboczo tu nazwanymi czynnikami (czy wyznacznikami) całościowymi są właśnie dyrektywy gatunkowe. To one są planem, według którego możemy dokonać rekonstrukcji dzieła (gdy rekonstrukcji ono wymaga), ich znajomość jest też konieczna przy pracy nad tekstem dzieła, które nie uległo dekonstrukcji pod wpływem czasu czy innych czynników od dzieła niezależnych. Jak można by pracować nad autografem *Pana Tadeusza* nie wiedząc, że to „historyja [...] we dwunastu księgach wierszem”? Jak byśmy mogli porządkować dalsze rapsody *Króla-Ducha* bez orientacji w poetyce dzieła i jego filozofii? Ale nie koniec na tym! Gdy edytor zestawia tekst podstawowy z pełnym aparatem krytycznym i zaplanuje do tego stosowne indeksy, to czyż nie zastanowi się wespół z wydawcą nad całościowym układem książki? Powtarzam: całościowym układem książki. Rzecz nie w tym, że w ogóle będzie komentarz, lecz — jaki i gdzie będzie umieszczony, jaką wytłoczony czcionką, z jakim systemem odsyłaczy, czy ilustracje będą wewnątrz czy pójda

<sup>1</sup> S. Dąbrowski, *Edytorstwo — tekstologia — nauka o literaturze*. „Pamiętnik Literacki” 1980, z. 3.

„albumowo”? A co to takiego razem? To przecież „genologia bibliologiczna”; bez niej mielibyśmy czystą „filozofię przypadku”. Pamiętam, jak na jednym z zajęć tzw. „Wyjaśnień wstępnych” Juliusz Kleiner (jakże słusznie przypomniany przez Dąbrowskiego z szacunkiem) powiedział: „Jaka szkoda, proszę państwa, że filolog często nie umie sobie wyobrazić książki, a wydawca — przygotowywanego przezeń dzieła!” Oto dlaczego opowiadam się za „edytorską genologią”.

Prawda, wyznaczniki genologii bibliologicznej nie są trwałe, o tym wiadomo, jednak przecież „roczniki” i „sprawozdania” to całościowe układy gatunkowe, z którymi liczy się wydawca, odbiorca, bibliotekarz, ale i autor piszący do nich przez dostosowywanie swych prac do charakteru i przeznaczenia tych publikacji. Stanisław Dąbrowski tak się jakoś negatywnie ustawił wobec mojej metodologii genologicznej, że nie dopatrzył tego, iż pojęcia „gatunków książkowych” ukazałem jako nader ważne w stosunku do wszelkich form piśmienniczych. Właśnie dlatego, że w genologii widzę klucz do całościowego widzenia zabiegów edytorskich, naraziłem się na zarzut wprowadzenia do pracy prawie całej teorii literatury.

Tu sprawa dalsza. Mój recenzent zauważył, że *Edytorstwo* przeznaczone jest dla redaktorów wydawniczych, nie zauważył natomiast w swej wypowiedzi innych odbiorców, mianowicie studiujących różne kierunki filologii oraz bibliotekoznawstwo. A zatem: kto jest tej książki prawidłowym, właściwym odbiorcą? Że są tu „sprawy elementarne” i że praca ta to „omnibus”? Hm! Doświadczony redaktor sam to już wie, początkujący powie, że to za trudne, a średniak w ogóle niczego nie potrzebuje! Pracownik naukowy też nie sięgnie po tę książkę, gdyż on nie czyta, lecz pisze, a student ma opracowania szczegółowe. Czyż więc książki w ogóle są potrzebne? Rozumujmy więc inaczej: co dla jednych jest oczywiste, nie musi być takie dla innych. Oraz że do edytorstwa należą nie tylko jego organiczne składniki, ale i to, co edytor musi znać, aby w ogóle mógł być edytorem. Potrzebny byłby i wykład ortografii! Bardzo to słuszne; toż przecież ortografią dla edytora jest transliteracja i transkrypcja!

Rację ma S. Dąbrowski, gdy mówi, że szereg uwag zawartych w *Edytorstwie* adresowany jest do autorów, nie zaś do redaktorów. Właśnie tak! Nie ma tu żadnego *qui pro quo*, bo przecież, jak próbowałem wyjaśnić, redaktor powinien znać możliwie wiele z warsztatu autorskiego. Do czego miałby służyć mur między autorem a redaktorem? Pracownicy redakcyjni również piszą i drukują — czy też inaczej: autorzy pracują również w wydawnictwach. S. Dąbrowski wie to doskonale!

Ma rację recenzent, gdy mówi, że co innego nauka, a co innego korzystanie z jej wyników. To jasne, ale co z tego? Czyż recenzja S. Dąbrowskiego nie jest korzystaniem z wyników badań naukowych? Co więcej — nie wchodząc tu w zaślony identyfikacyjne i definicyjne trzeba zaznaczyć, że właśnie edytorstwo to w lwiej części korzystanie z osiągnięć nauki. Dowód? Wszak nikt nie jest wyłącznie edytorem, lecz ponadto, najpierw — historykiem, historykiem literatury, sztuki, muzyki, prawa... Zresztą granica między nauką a korzystaniem z jej wyników jest bardzo płynna, choćby dlatego, że nie ma nauki bez korzystania z wyników obserwacji czy po prostu z pracy naukowej własnej oraz poprzedników.

Rzecz jasna, że ani wydawca, ani redaktor wydawniczy nie uprawiają nauki wyłącznie z tytułu pełnionych obowiązków zawodowych. Nikt tak chyba nie twierdzi. Wymienieni korzystają po prostu z wyników prac naukowych. Recenzent uderza w „zacieranie się granicy między funkcjami autorskimi a redakcyjnymi [...] w redakcjach encyklopedycznych i leksykograficznych wydawnictw”. Czy recenzent sądzi, że może powstać składna encyklopedia czy słownik, gdy autorzy haseł piszą po prostu tak, jak im serce czy temperament dyktują? Gdy autor zamiast 50 wierszy hasła przynosi ich 300? I że redaktorzy dostosowują tekst autorski do publikacji zbiorowej z samej żądzy „poprawiania”? Na autorze spoczywa obowiąz-

zek dostosowania swej pracy do charakteru i przeznaczenia publikacji, redaktor zaś powinien sprawy tej z całą starannością dopilnować! Że redaktorzy niejednokrotnie przekraczają swe uprawnienia? Naturalnie, ale to są właśnie naganne przekroczenia, nie zaś redakcyjna norma. Czy recenzent nie czytał w prasie, jak to ten czy inny redaktor wydawniczy „skrzywdził” autora, ponieważ czegoś tam nie dopatrzył? A zatem, choć istnieje wyraźna granica między pracą autora i redaktora, to jednak od redaktora wymaga się nie lada aktywności.

Czyja koncepcja w książce — tak, w książce! — ma dominować, autora czy redaktora? Wydaje mi się, że w tej partii recenzji Dąbrowski postawił sprawę zbyt skrajnie, twierdząc, że redaktorowi wydawniczemu przyznałem kompetencje dyktatorskie wobec ubezwłasnowolnionego niemal autora.

Nic na to nie poradzę, ale redaktor tak czy owak jest recenzentem autora, jest i analitykiem (jeśli dobrze zrozumiałem, o co tu chodzi), i korektorem. Czy to są działania uzurpatorskie, nastawione na szkodę autora? Powtarzam: wszędzie w grę wchodzić może przekroczenie oczywistych nawet i bezspornych kompetencji, ale kto by wotował za nadużyciami? Czy redaktor jest też „kontrolerem” autora? To zależy od tego, co Dąbrowski ma na myśli mówiąc „kontroler”. Z tonu recenzji wynika, że chodzi tu o coś bardzo nieładnego. Uspokajam więc recenzenta: redaktor kontroluje zapis dzieła, recenzent zaś również i dzieło. Kontroluje — ale wyrzucmy to słowo! — czyli *de facto* recenzuje, sprawdza, dyskutuje z autorem.

Oburza się recenzent, że pozwalam redaktorowi na podporządkowywanie koncepcji dzieła technicznej koncepcji książki. Uważny i przede wszystkim spokojny czytelnik zrozumie, o co mi tutaj chodzi. Wyjaśniłem to kilkadziesiąt wierszy wcześniej. Powtórzmy za Kleinerem, że nie każdy autor wyobraża sobie książkę, a przecież chodziło, bo o nic innego nie mogło chodzić, o zgodność układu dzieła z układem książki (czyli z jej koncepcją techniczną). Koncepcja dzieła to zupełnie inna sprawa! Wydawca finansujący edycję ma prawo odrzucić dzieło, gdy mu nie odpowiada jego koncepcja, łącznie z poziomem. Tak jest na całym świecie. Czy wydawca ma obowiązek drukowania wszystkiego, co mu autor przyniesie? Piszę raz „wydawca”, raz „redaktor”, gdyż to zależy od struktury danego wydawnictwa. Ale to przecież zupełnie inna sprawa. Mnie chodziło dotychczas o adaptację tekstu, czasem bardzo złożonego, do kompozycji książki, np. podręcznikowej, albumowej, seryjnej itd. Gdyby tu redaktor nie miał nic do powiedzenia, żadna seria nie mogłaby się utrzymać! W ogóle po co mówić o wyższości jednego nad drugim? To zupełnie nie ma sensu. Obaj mimo wykonywania różnych prac muszą współdziałać z sobą, by ze skryptu lub maszynopisu powstała dobrze przemyślana książka.

Co do odpowiedzialności czy raczej współodpowiedzialności redaktora-wydawcy (wydawcy jako instytucji również oraz redaktora jako jednostki): redaktor na całym świecie jest współodpowiedzialny za opracowaną przez siebie edycję.

Z dużą niechęcią wracam do sprawy krzyżowania i pokrywania się znaczeń takich słów, jak „edytor”, „wydawca”, „redaktor”, lub ich połączeń. Recenzent wie, o co chodzi, ale woli udawać, że jest inaczej, bo mu z tym wygodniej. Zajmijmy się krótko samą sprawą, na drugie zaś machnijmy ręką, bo byłby to spór zupełnie jałowy.

W swojej pracy wyraźnie zazaczyłem, że nazwy „edytor”, „wydawca” i „redaktor” są przynajmniej dwuznaczeniowe: wydawca (człowiek lub instytucja) to ktoś, kto opracowuje dostarczony tekst i doprowadza go do postaci książki, z finansowaniem włącznie, ale i pracownik naukowy przygotowujący tekst dla instytucji wydawniczej. Edytor to pracownik naukowy adaptujący zapis dzieła do potrzeb ściśle wydawniczych, ale edytor to również kompetentny merytoryczny pracownik oficyny wydawniczej, który czyni coś więcej poza technicznym przysposobieniem zapisów. Redaktor (np. czasopiśmienniczy, naukowy) to ktoś, kto

gromadzi teksty nowe, przede wszystkim autorów żyjących, i jako pierwszy recenzent komponuje z nich bądź numer periodyku, bądź tom zbiorowy; redaktorem nazywa się również naukowego opiekuna zespołu młodszych zazwyczaj edytorów. Wreszcie redagowaniem nazywamy ostateczne przygotowanie własnej pracy lub utworu (redakcja pierwsza, poniechana, ostateczna). Redaktor to również merytoryczny pracownik oficyny wydawniczej zajmujący się tekstową stroną dostarczonego dzieła (redaktor literacki) lub techniczną adaptacją do składu (redaktor techniczny). Sprawę komplikuje poza tym fakt, że nie mamy czasownika od słowa „edytor” („edować” i dalej „edowany”!), wobec czego mówimy i piszemy „wydał”. W związku z tym wyróżniamy: edytora (badacza), wydawcę (osobę lub instytucję wydawniczą i nakładową), wydawnictwo (instytucję) w odróżnieniu od publikacji (wytworu wydawniczego), redaktora naukowego (analogia do edytora-badacza) oraz redaktora wydawniczego (merytorycznego pracownika wydawnictwa). To w *Edytorstwie* powiedziano jasno. Że zaś, o czym wszystkim wiadomo, funkcje poszczególnych „aktantów” często się zająbiają, co więcej, często poszczególne funkcje bywają przez nich wzajemnie sobie udzielane, dla podkreślenia tego faktu oddawano za pomocą nazw podwójnych owe podwójne funkcje. Czyniono to w sytuacjach jednoznacznie określających istotę takich układów dwu- lub kilkuczłonowych.

Recenzent, choć zapisał tyle stronic, nigdzie nie wspomniał, czy w *Edytorstwie* cokolwiek mu się podobało. Widocznie nie jest on zwolennikiem rozpieszczania ocenianych autorów.

Na tym kończę podkreślając, że w mojej odpowiedzi usiłowałem odejść od faktów jednostkowych ku dającym się generalizować.

Jan Trzynałowski

#### OD REDAKCJI

Artykuł pani profesor Ireny Sławińskiej: *Obraz poety i jego gospodarstwo. Rzecz o Czesławie Miłoszu*, przeznaczony do zeszytu 3/1980, dedykowanego profesorowi Czesławowi Zgorzelskiemu, nie ukazał się z przyczyn od nas niezależnych. Zamieścimy go w zeszycie 1/1981.